

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 9 CZERWCA 1928 ROKU

NR 24

TREŚĆ NUMERU: Dzień matki. Macierzyństwo — *Natalja Jastrzębska*. Nowy typ kobiety matki — *Dr. Herminja Naglerowa*. Okno na szeroki świat — *Z. Zaleska*. Poezje: „Droga” — *Felicja Kruszevska*. Matka — *M. H. Szpyrkówna*. Jak próżne kłosy z podniesioną głową. — *Wanda Borudzka*. Macierzyństwo w sztuce — *I. J. Macierzyństwo na filmie* — *Stef. H.* Obrazy z historii mody — *Stefanja Zahorska*. Wrażenia z wystawy łowickiej — *Well*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Letnie garsonki — *Well*. Dodatek „Kultura ciała”: Słońce — *Dr. J. Świtalska*. Modne choroby — *Dr. Fruchtmann*. Kobiety kongres sportowy — *Dr. Mieczysław Orłowicz*. Snobikowska uprawia sporty — *Well*. Odpowiedzi redakcji. Dodatek powieściowy: „Jej grzech” — *Edna Bryner* — tłum. *Hat*. Arkusz wzorów.

DZIEŃ MATKI

Macierzyństwo jest istotnem powołaniem kobiety, które włożyła na nią natura, a poszanowaniem i czcią otoczyły zarówno najdawniejsze kultury religijne, jak tradycje narodowe wszystkich ras i epok.

Dopiero jednak Wiara Chrystusowa podniosła macierzyństwo do godności nadludzkiej, czyniąc Marję Dziewicę Matką Boga-Człowieka. I odtąd oczy wszystkich matek obracają się z ufnością do Tej Najśłodszej i Najboleśniejszej, która urodziła Światło i Odkupienie świata.

Doba obecna jest chwilą wielkiego kryzysu macierzyństwa. Sprzysięgły się na nie wszystkie złe moce, drzejące na dnie społecznych i ekonomicznych fermentów. To, co powinno być zwycięstwem i radością życia, jakże często staje się klęską, zawodem, zatruciem najczystszych źródeł istnienia! Same kobiety spychają nieraz dostojęstwo matki do rzędu smutnych konieczności.

Chwalebną zatem jest inicjatywa urządzania raz do roku Święta Matki, w którym to dniu całe społeczeństwo oddawałoby hołd swoim matkom, zarówno żywym, jak i zmarłym.

Jako datę Dnia Matki ustalono u nas niedzielę d. 10 czerwca. W bieżącym roku, z powodu trudności organizacyjnych, nie doszło do ogólnego obchodu na terenie całej Rzeczypospolitej.

„Bluszcz” jednak, zgodnie ze swą linią ideową, w dniu tym poświęca Matce i zagadnieniu macierzyństwa numer specjalny w nadziei, że znajdzie on żywe echo w sercach naszych czytelniczek.

Chodzi nam nie tylko o moment wzruszenia, ale o głębsze wnikięcie w istotę sprawy. Od stanowiska matki w społeczeństwie zależy zdrowie moralne i fizyczne przyszłych pokoleń. Oby ten Dzień Matki obudził w kobiecie głos jej powołania, a w sumieniu ludzkości — świadomość praw, jakie się kobiecie-matce należą!

NATALJA JASTRZĘBSKA

MACIERZYŃSTWO

Jeżeli wmyślimy się w istotę wielkich ideałów ludzkości, to musimy przyznać, że jedynym z nich, realizowanym powszechnie, widocznym i dostępnym na każdym kroku, jest macierzyństwo.

Żadne ze wskazań, żaden z obowiązków nie stoi na takiej wysokości codziennego wypełnienia do granic ideału; żadne uczucie, żaden węzeł rodzinny, czy duchowy, nie wykazuje tej potęgi, niezależnej od okoliczności moralnych, czy materialnych, od rasy, kultury, narodowości i wieku.

Uczucie matki do dziecka, trud pieczołowitości, poświęcenie—wykazuje jakościowo taksamo kobieta z ludu, jak z najwyższych warstw inteligencji; w uczuciu tem łączą się i rozumieją zarówno kobieta dzika, jak członkini najkulturalniejszej rasy; a jeśli potencjalnie siła napięcia instynktu macierzyńskiego bywa różna, jeśli nawet niższość kultury, lub niższość ducha tworzą pewne odchylenia od ideału, często w twardych warunkach codziennego bytu—to w chwili niebezpieczeństwa, w chwili zagrożenia życia lub losu ukochanych istot-dzieci, w chwili konieczności ich obrony, ta siła potencjalna wybucha, jak wulkan, tworząc z kobiet-matek bohaterki, nie cofające się przed żadną ofiarą.

I to wszystkie prawie, bez wyjątku.

Takich poświęceń, takiego ciągłego, niezmiennego uczucia nie wykazuje ludzkość do dnia dzisiejszego w stosunku do żadnego ze swych ideałów i obowiązków. Mamy tylko liczne przykłady wielkiego ich odczuwania i wypełniania, mamy świetne czyny bohaterskie wyjątków—nie jest to jednak powszechność.

A miłość, poświęcenie, bohaterstwo matki są powszechnością.

Jest w tem coś nadludzkiego, coś z innego wymiaru, jakby na macierzyństwo spływał z niebios promień błogosławieństwa Bożej Matki Najwyższej, wydobywając z każdej duszy kobiecej siłę twórczą wypełniania wielkiego ideału.

I nie zmniejsza tego fakt, że nie każda z matek rozumem, inteligencją, wyrobieniem charakteru stoi na wysokości zadania wychowania swych dzieci, że często popełnia błędy w tym kierunku. Ukochać nad wszystko i poświęcić się do ostatnich granic potrafi każda. Nawet u wyjątków, nawet u przestępczyni uczucie macierzyńskie istnieje i tworzy jedyny rys do-

datni, jedyną lepszą stronę charakteru. Ileż razy na tle uczucia macierzyńskiego właśnie powstaje odrodzenie duchowe kobiet upadłych, nawet zbrodniarek!

Żywiołowa, najsilniejsza fizycznie, a jednocześnie przepotężna duchowo, nawet u tych, co maluczkie mają ducha wyrobienia, miłość macierzyńska jest najwyższą tajemnicą połączenia ducha i ciała, posiada własną, niezbadaną wymierność, nie wygasając nigdy, nawet wtedy, gdy płomienia jej nie podsyca wzajemna miłość dziecka, nawet wtedy, gdy dziecko jest złe i występne. W macierzyństwie jest wymiar i potęga wieczności. Jej niewzruszoność i bezkresność.

„Równe jest wielkie małemu i małeńkie największemu”—twierdzą stare księgi mądrości hinduskiej. W macierzyństwie odnajdujemy żywy przykład tej teorii. Codzienne, ciche, drobne, pozornie małeńkie ofiary, ciągłość nieustannego czuwania, wieczny trud, nieustanna warta miłości—lub wielka ofiara bez granic, poświęcenie, oddanie z siebie wszystkiego do ostatniej kropli. Równe sobie małe i wielkie, które się ciągle wypełnia.

Ludzkość przyjmuje tę ofiarę, żyje nią i z niej, odczuwa ją raczej, niż rozumie, odpłaca, jak potrafi, niezawsze równą miarą—ale instynktem czuje, że matka jest najwyższą świętością każdego człowieka na ziemi.

Cześć dla niej stała się przykazaniem wiary, prawodawstwem i etyki. W miarę zaś coraz wyższego, coraz subtelniejszego rozwoju ducha, wypłynęła potrzeba dania tym uczuciom zbiorowego, powszechnego wyrazu. Stworzenie chwili, w której wszystkie dzieci świata składać mają hołd czci, pamięci i miłości matki i macierzyństwu.

Oby ten dzień stać się mógł symbolem wzniesienia się ducha ludzkości, wydobywania z niej najwyższych wartości moralnych, przez cześć dla ideału bliższego, ogólnego, powszechnego, a tak szczytnego—macierzyństwa!

Obyśmy mogli wszyscy wzniesić się tak, aby godnie odpłacić matkom naszym za ich miłość i aby wypełniać wszystkie obowiązki nasze tak, jak one wypełniają obowiązek macierzyński!

Błogosławcie nam w tych wysiłkach, duchy matek, które odeszły! umacniajcie nas w nich, serca matek, które żyją i miłują!



DR. HERMINJA NAGLEROWA

NOWY TYP KOBIETY-MATKI

Kobiety, które siedmiomilowemi butami idą drogą postępu, musiały w tym pośpiechu wyprzedzić cały kompleks spraw, dotyczących zarówno urządzeń społecznych, jak i rodzinnych. Stąd też wytworzyły się owe niedogodności życiowe, z których powodu cierpi taksamo mężczyzna, jak i kobieta. Są to czasem sprawy wielkie, odrazu rzucające się w oczy, poprostu — sprawy natury publicznej. Lecz o wiele więcej jest tych, napozór drobnych, kwestyj i kwestyjek, wyrastających z podłoża codzienności, jakby zamkniętych czterema ścianami domu i rozgrywających się na małym, najmniejszym skrawku życia. Wiemy jednak, że drobne sprawy są przeważnie najbardziej ważne, z nich, bowiem, układa się mozaikowy całokształt obrazu. I z nimi właśnie ma najtrudniejszą do stoczenia walkę — dzisiejsza kobieta.

Zapewne nie przewidywały wojowniczeki o prawo nauki i pracy, że dla niejednej kobiety triumf słusznych, ludzkich postulatów — będzie zwycięstwem Pyrrhusowem. Już dziś niejedna z nas ugina się pod ciężarem rozlicznych obowiązków, i z pewnem zażenowaniem zaczynamy się przyznawać do tego, że nie potrafimy całkowicie podołać pracy zawodowej, czy naukowej, mając ponadto te same, przez nikogo nam nieodjęte, zajęcia domowe. Kobieta posiada wprawdzie doskonały zmysł organizacyjny i wytrwałość wprost zdumiewającą, ale doba liczy zawsze tylko 24 godziny, z których przynajmniej 7 — trzeba prześpać.

I tak: kiedy ośmiogodzinny dzień pracy stał się obowiązującą ustawą w świecie cywilizowanym, kobieta pracuje 14 godzin na dobę, trapiąca ponadto wyrzutem sumienia, że nie wykonywa swoich obowiązków dostatecznie. Zapewne — mogłaby się nie tak bardzo trapić, gdyby szło tylko o dobrze przyrządzony obiad, o pranie i cerowanie bielizny, o wycieranie kurzu; ale w ramach domu i rodziny mieści się jedno — najważniejsze zagadnienie: dziecko!

Oczywiście, że w tej dziedzinie skrupuły kobiety są uzasadnione. Być matką — to ogrom trudu i odpowiedzialności, zwłaszcza dla dzisiejszej kobiety, wykształconej, rozumnej, a pracującej zawodowo. Za to, przedewszystkiem, należy wyrazić podziw kobiecie pracującej, że poddała się nakazowi przyrody i nie wyzbyła się najwyższych i najczystszych uczuć macierzyństwa. Lekarka, adwokatka, nauczycielka czy buchalterka, jest taksamo piastunką — czuwającą nocami przy swem dziecku, choć w dzień czeka ją praca zawodowa i wysiłek umysłowy. Kobieta, pracująca intelektualnie, jest może bardziej cierpliwą i wyrozumiałą wychowawczynią swych dzieci, niż niemi były

nasze prababki i babki; — jest najlepszą przyjaciółką i powiernicą swoich dorosłych synów i córek. Jej uczucia macierzyńskie, ujęte w karby, moderowane rozumem, uszlachetnione etyką społeczną, są przecież dziś niemniej silne i głębokie. Miłość dla dziecka nie jest już, bowiem, u niej ślepym instynktem, czy elementarnym odruchem animalistycznym, ale uczuciem świadomym. Opanowuje więc nerwy, poddaje się dyscyplinie woli, skrzepia w energii, aby być matką-człowiekiem.

Tak więc z kształtowania samej siebie, aby pogodzić nakaz przyrody z wziętym na siebie obowiązkiem pracy w zawodach, nauce, sztuce — wytworzył się nowy typ kobiety matki, o którym śmiało można powiedzieć, że jest najszlachetniejszym, najbardziej wartościowym typem człowieka.

Niema w tem określeniu żadnej przesady, gdyż trzeba tylko bezstronnie przyrzeć się dzisiejszemu życiu rodzinnemu. Mężczyzna, który przez długie wieki mienił się Atlase, dźwigającym na swoich barkach ciężar spraw świata, zbył się dziś w znacznej części ciężaru i uzyskał swobodę większą, niż ją kiedykolwiek posiadał. Dziwną igraszką losu, ułatwiła mu to właśnie „wyzwolona“ kobieta, której dopiero po zaciętej walce raczył odstąpić część swoich obowiązków. Tak więc sumienie ojca rodziny stało się dziś lżejsze i temsamem pochopniejsze do zrywania nawet uświęconych związków. Dziś pater familias odchodzi od rodziny o tyle spokojny, że przecież żona potrafi sama dom i dzieci utrzymać.

Powiedział ktoś, że kobieta dla mężczyzny jest tyle warta, ile na nią wydaje. Więc skoro go nie kosztuje, skoro raczej pomnaża jego dochody praca zarobkowa — nie posiada dla niego żadnej wartości! To cyniczne powiedzenie mieści jednak sporo prawdy, i liczne przykłady rozpadania się dzisiejszej rodziny — już nie tylko, jak dawniej w sferach magnackich, czy finansjery, lecz właśnie w sferach zarobkującej inteligencji — świadczą o tem, że mężczyzna w istocie nie czuje się już dziś tak ściśle związany obowiązkiem utrzymania rodziny, której przecież prawnie jest „głową“ i która nosi jego nazwisko. „Ojciec“ jest dziś często wyrazem, wyeliminowanym ze słownika rodziny, a na straży takiej „nowoczesnej“ rodziny stoi — matka.

Ale tem cięższe i poważniejsze jest zadanie, które spełnia ta matka, wyrastająca heroizmem wyrzeczeń osobistych ponad przeciętny, ludzki poziom.

Podejdźmy, bowiem, nieco bliżej do tej rzeczywistości, do tych wielorakich zatrudnień, kłopotów, walki o byt, wysiłków energii psychicznej i fizycznej,

dokonywanych przez samotną kobietę-matkę. Ilekroć różnolitych przemian w takiej kobiecie, która musi być dzielnym zawodowcem, czy pracownikiem, aby wytrzymać walkę konkurencyjną z mężczyzną; która, wróciwszy do domu, musi być dobrą organizatorką, a częściej jeszcze, wykonawczynią zajęć domowych; dalej—musi być rozumną wychowawczynią swoich dzieci i czułą, kochającą matką. Każdy drobiazg powszedniego życia przesiewa się przez jej mózg, serce i — ręce. Musi się jednocześnie rozszcześcić i skupić, musi być surowa i łagodna, wybacząca i sprawiedliwa. A im lepiej uświadamia sobie wysokie zadanie matki, tem większe stawia sobie wymagania.

Gdzieś zosobna idą jej ambicje zawodowe, czy naukowe, tłumione drobnym deszczem niezliczonych spraw domowych, trzymany na uwieży ważną sprawą wychowywania dzieci, kierowania młodą, rozwijającą się psychiką i formowania jej ku pożytkowi społecznemu. Pracując, kobieta wydatkuje siebie, rozmienia się na drobne. Z wielkich zamiarów twórczych, z wartościowych ambicji zawodowych musi rezygnować ostatecznie, bo kobieta matka zawsze na pierwszym miejscu postawi interes swoich dzieci. A uczyni to z całą świadomością kobieta pracująca, kobieta wykształcona i rozumna, która celowo wychowuje swoje dzieci na dobrych obywateli, na wartościowe jednostki społeczeństwa.

I dlatego, gdy dziś obchodzimy „Dzień Matki“, przedewszystkiem należy skłonić głowy w hołdzie przed taką matką. Ale sam hołd nie wystarczy. Trze-

ba obmyślić, jak tej matce przyjść z pomocą, aby nie poszły na marne jej walory intelektualne, jej zdolności i talenty. Jest to bezwzględny obowiązek społecznym! Taksamo, bowiem, jak robotnicy, należy się kobiecie z inteligencji umożliwić zadanie macierzyństwa przez urzeczywistnienie istniejącego w teorii ustawodawstwa o macierzyństwie, przez tworzenie instytucyj społecznych, utrzymywanych przez państwo, więc bezpłatnych. Mam na myśli przedszkola, ochronki, zakłady wychowawcze, szpitale, sanatoria i t. p. Trzeba tej kobiecie zdjąć z ramion trochę ciężaru, a trzeba to nawet zrobić pomimo, iż tego nie żąda, chlubiąc się tem, że sama wychowuje swoje dzieci i sama na nie pracuje.

Tam zaś, gdzie troska o materialny byt rodziny należy wspólnie do męża i żony, gdzie jest ojciec i matka, oboje pracujący i oboje na równych prawach, część trudów wychowawczych i opieki codziennej musi wziąć na siebie ojciec. Nie poraz pierwszy zresztą na tem miejscu mówię o „domowej“ współpracy mężczyzn i kobiet, i nie poraz pierwszy stwierdzam, że mężczyzna zakrzepł w konserwatyzmie pojęć i nie chce nic zmienić w swoim trybie życia, w niczem od swoich nawyków odstąpić na rzecz zmian, jakie zaszły w układzie społecznym, odkąd kobieta pracuje taksamo i tyle samo, co mężczyzna.

Jakkolwiek jednak jest, czy będzie, musimy dziś z dumą stwierdzić, że kobieta pracująca jest, jako matka, tym najwyższym typem człowieka, który z całą świadomością celów, zadań i odpowiedzialności urosł do potęgi samopoświęcenia.



Z. ZALESKA

OKNO NA SZEROKI ŚWIAT

Rozbłysnęły żwawiej oczy, wyprostowały się zgarbione plecy—jakby w dusznej sali ktoś nagle okno otworzył i jakby wpłynął niem ożywczy zapach dalekich pól, rozjaśnionych słońcem i błękitną kopułą nieba.

Wszystkie spojrzenia wpiły się w prelegentkę. A ta mówiła prosto, bez krasomówczych zwrotów, ale tak — jakby kochającą dłonią dotykała krwawiących, nieopatrzonych ran, jakby drzazgi kłujące z serc obojętnej wyjmowała. Mówiła—o macierzyństwie — o tej szarej doli matczynej, którą tak dobrze znały te zabiedzone kobiety o spracowanych dłoniach, o porytych zmarszczkami twarzach, które coraz głośniejsze, coraz śmielej potakiwały jej słowom.

Tyle się, dziś zwłaszcza, nazbierało goryczy w sercach kobiecych i takie bezradne załamanie rąk spotyka się w tych najszerszych, szarych masach, że słowa życzliwe, otuchy pełne, a wskazujące drogi, jakimi iść należy, przyjmowane są ze łzami w oczach. Kobiety z warstw nieinteligencji czują swoje upośledzenie w rodzinie, beznadziejny kierat codziennej, monotonnej, zabijającej myśl, pracy domowej, „za którą nawet nikt słowa dobrego nie powie“, cierpią i... milczą. Dlaczego? bo nie widzą wyjścia ze swej doli. A także i dla tej — jakże charakterystycznej! — skargi: „oni (mężowie) nie pozwalają nam chodzić na zebra-
nia; nie chcą, żebyśmy się czegoś nauczyły, posłucha-

ły, jak jest gdzieindziej. Im aby ta szkapu robocza w domu potrzebna. A sami to ganiają, gdzie i nie trza! — Trzeba tu jednak przyznać, że gdzie już mężowie przekonali się, że im „te panie bab nie buntują“, tam sami o zebraniu przypominają.

Poczucie autorytetu matki w rodzinie nie łagodzi obecnie ciężaru trosk i pracy, dźwiganej przez tę matkę-gospodynię, bo autorytet ten zanikł. Dzieci, chowane w naszych polskich szkołach powszechnych, przerastają wykształceniem matkę - robotnicę, czy wieśniaczkę, nie znajdując przytem w domu zaspokojenia tych swoich potrzeb kulturalnych, jakie w nich budzi szkoła. Zaczynają zatem od uciekania z domu (zwłaszcza tam, gdzie szkoła ma odpowiedni gmach), garną się do świetlic, a z matką „rozchodzą się“ coraz dalej. I biedne matczyko, sterane pracą całego życia, zostaje samo, nie umiejąc sobie rozjaśnić ciężkiej doli tak, jak dziesiątkami zainteresowań kulturalnych może to uczynić inteligentka.

W rodzinach „intelligenckich“ naogół jest lepiej, lecz i tu wkrada się ta „obcość“, która osamotnia matkę. Dzieci, czy młodzież, tworzą sobie swój własny świat, do którego niechętnie, często „jak z łaski“ dopuszczają rodziców, czując się „bardziej współcześni“, niż tkwiący w przedwojennych pojęciach „starzy.“

Stoimy zatem przed problemem, który rozwiązać trzeba, i który rozwiązany być musi przez kobiety, bo... nikt tego za nas nie robi. Przykładem jest choćby—Święto Matki, do którego organizowania musiały się wziąć kobiety. O znaczeniu takiego obchodu dla podniesienia autorytetu matki wśród szerokich mas nie trzeba się rozwódzić. Ale trzeba wskazać na fakt, że nie możemy na obchodzie poprzestać: trzeba poprowadzić celową, planową pracę dla rozjaśnienia życia tym, wplecionym w koło codziennych, gospodarskich i wychowawczych udręczeń, kobietom. Trzeba im z jednej strony dać naukę organizacji pracy domowej, z drugiej — wskazówki wychowawcze. Innymi słowy: nauczyć je wykonywać zadanie gospodyni i matki. Planowo i umiejętnie zorganizowana praca wprowadzi do domu harmonję i estetykę życia, zostawi im czas na umiejętne wychowywanie dzieci, kształcenie własnego umysłu.

W ten sposób była postawiona sprawa gospodarczego wykształcenia kobiet na Kongresie Rzymskim (XIII Rolniczym) w roku zeszłym. W ten sposób traktuje Ameryka cel naukowej organizacji pracy domowej, potężnego dziś ruchu umysłowego, na którego czele stoją profesorowie uniwersytetów i inżynierowie. Ruch ten rozwija się we wszystkich państwach Zachodu w sposób imponujący. U nas tylko z takim trudem toruje sobie drogę. Propaguje go Rada naczel-

na gospodarczego wykształcenia kobiet, sekcja gosp. dom. przy Instytucie Nauk. Organizacji, seminarja gospodarcze, Warszawskie Koło studjów gosp. domowego (zawiazane przy Stow. Zjedn. Ziemianek) — ogół kobiet jednak ...spi. Niewątpliwie nie sprzyjają mu nasze warunki mieszkaniowe, ale trzeba i o tem pamiętać—że „zapotrzebowanie stwarza towar“ w wielu dziedzinach. Przedsiębiorcy, architekci, kupcy muszą być przynaglani do wytwarzania tego, co jest potrzebne, przez wymagania klientów. Trzeba tylko przede wszystkim wiedzieć, czego ma się wymagać, ergo—zapoznać się ze zdobyczami Zachodu w dziedzinie pracy domowej.

Wśród ludu pracę kształcącą w zakresie gospodarstwa kobiecego prowadzą ze stowarzyszeń kobiecych: Stow. Zjednoczonych Ziemianek w województwach środkowych i zachodnich, Tow. Gosp. Wykształcenia Kobiet w Małopolsce, sekcja kół gospodyń przy C. T. R. Na kursach wędrownych instruktorki tych stowarzyszeń uczą na miejscu, w chacie wiejskiej, jak ją sprzątać, jak sprzęty najwygodniej rozmieścić, jak gotować, nakryć stół do posiłku estetycznie i t. p. Uczą, pozatem, podstawowych zasad higieny i pielęgnowania niemowląt.

W miastach cała ta dziedzina leży odłogiem. Lekarki szkół powszechnych i higienistki ośrodków zdrowia opowiadają fakty zdumiewającego braku znajomości najprostszych, zdawałoby się, kwestyj. A instruktorki opieki społecznej stwierdzają, jako przyczynę nędzy, nieumiejętność gospodarowania.

Po za tem leży cała ta druga strona zagadnienia: nieumiejętność wychowywania dzieci i... nieumiejętność współżycia rodzinnego. Objaw to nietylko nam właściwy: w Belgji istnieje „Liga wychowania rodzinnego“ i „Związek chrześcijańskiego małżeństwa“ — organizacje, uczące wzajemnego do siebie stosunku członków rodziny. U nas Liga taka, na wzór Belgji projektowana, a na tradycjach tajnych kół matek przy Macierzy Szkolnej w latach niewoli, przez Zjedn. Ziemianki, oparta, złączyła się ze Zjednoczeniem Zrzeszeń Rodzicielskich, prowadzącem pracę wśród rodziców uczniów szkół średnich. Wśród ludu rolę wychowawczą spełniają Związki Matek chrześcijańskich przy parafjach. Nie docierają one jednak do wszystkich. Jak zaś ogromnie potrzeba tych wychowawczyń, czy pośredniczek między matką i dzieckiem, tego dowodem — działalność poradni pedologicznych w Warszawie.

Na tych dwóch terenach przede wszystkim musi rozwinąć się akcja, której wynikiem będzie podniesienie autorytetu matki w rodzinie i uczynienie życia piękniejszym i lepszym.



FELICJA KRUSZEWSKA

DROGA

Najpierw to tylko Jedno — a reszta jest cieniem.
Słów niema — jest dotknięcie i jest wspólne — jestem.
Świat przy matczynej piersi zamknięty ramieniem,
wszystko inne odcięte tym najprostszym gestem.

A potem już ktoś drugi. Trzeba słowa: mama,
trzeba imion, by zamknąć taki ból i szczęście.
Okrutne w swej radości: „ja sam” i „ja sama”.
Pierwsze niepewne kroki — z nich jeden: odejście.

Ciągle o ten krok naprzód. I już bez powrotu.
Precz, ramiona - łańcuchy! I puste rozwiążesz.
Nogi są do wędrówki — skrzydła do odlotu.
Zostaniesz. Jeśli pójdziesz, o krok nie nadążysz.

Wrócić! Oddać! Zapłacić! Lecz wstecz się nie daje —
Ślady drogi przebytej ktoś już odciął bramą.
Ciągle naprzód. — Aż kiedyś ból serce rozkłada —
i szloch: Wiem już! Rozumiem! Przebaczyć! Mamo! Mamo!



M. H. SZPYRKÓWNA

M A T K A

Codziennie rano, otwierając oczy, przez muślin od much nad koszykiem, w którym narazie mieściło się jej malutkie istnienie, Alinka widziała nad sobą twarz matki. Twarz ta była obrazem, który najpierw i najmocniej odzwierciedlił się w błękitnych oczkach małej podróżniczki z zaświatów — była symbolem życia.

W czasach najwcześniejszych rozpoznawała ją raczej — jako biały czepeczek z końcami, który się pochylał nad jej osobą i zasłaniał świat; za nim chybotął się zazwyczaj, osłonięty matczyną ręką, płomień świecy: widocznie naówczas ingerencja macierzyńska w jej małe życie miała miejsce raczej w nocy. Powoli jednak, z fałdzistych fałbanek zaczęła się wyodrębniać osobna od niego twarz, w której znowu własnem życiem żyły — oczy. Wzięło dużo czasu, zanim dało się ustalić, że nie są osobnymi żyjątkami, tylko należą do rysów. Zachowały jednak nadługo swoją tajemniczą, niezależną odrębność. Kiedy twarz była spokojna, oczy, niejako upewniwszy się, że wszystko jest dobrze, odbiegały. Którędy szły? Trudno zgadnąć, ale nie było ich w pokoju. Uciekały w świat; może — zaświat? Spotykały tam rzeczy i ludzi, miłych ludzi i kochane rzeczy, bo się rozpromieniały, jak dwa własne słońca, i obcowały radośnie z niewidzialnościami. Czasem — cofały się przed czemś napotkanem, niepewne i spłoszone; czasem — chroniły się pod powieki i drżały rzęsami, jak wystraszone dzieci, które przeraził zły człowiek. Jeszcze kiedy indziej — rozważały, dziwując się nierozpoznanej jakiejś sprawie. Ale najczęściej były, poza spokojem łagodnych rysów, zasnuć cichą, codzienną, nieustającą troską, jak jesienne słońce. Nie była to wielka troska: gdyby ją rozłożyć na obrazy, znalazłby się w niej niewiedzieć gdzie zarzucony, a potrzebny kluczyk, rozbity klosz u lampy, który kosztował przecież tak drogo, chora ręka dziewczyny folwarcznej, przez co rozsada mogła się nie udać, i niewykupiony weksel, o którym wspominał przy obiedzie z westchnieniem, mówiąc o ciężarach podatkowych, mąż. Troski te bywały małe, większe i największe, ale zwłaszcza — było ich wiele — i były ciągle. Może i ona, nowo przyłączona do ich grona Alinka, odbiła się w macierzyńskich, wszechwidzących oczach? Jej malusieńkie, przyszłe trzewiczki, które się drą tak prędko? Sukieneczki, szyte z byle czego, ale przecież — szyte własnymi rękami, kiedy po całodziennym kołowrotku zasiadła do maszyny, bo pannie Józi trzeba było przecież jednak bodaj cośkolwiek zapłacić? A skąd tu, miły Boże! było czasem wziąć?

I Alinka, świetnie się tucząc w koszyku od bieleziny, odpowiednio oceratkowany, zmateracykowa-

nym i ukołderkowanym, obserwowała poważnem, dziecięcym spojrzeniem widoczny skutek niewidocznych matczynych myśli: zmarszczki! Uplatały się cienusienką siateczką dokoła oczu i ust, zaczepiały chytrze policzki, skradały się na szyję, a na skroniach zakładały skomplikowane wzory, podobne do modnych koronek. Wiły nierozzerwalną, najcieńszą przegrodę, która odgradza kobietę od młodości, urody i szczęścia.

Odgradza o wiele za wcześnie. Gdyby małe Alinka umiała myśleć po dorosłemu, zastanowiłaby się napewno, dlaczego życie przepala jej matkę tak szybko? I zapewne dotarłaby do rozwiązania: bo matka, jak soczewka, skupiała na sobie wszystkie promienie życia, które koło niej się ogniskowało, i przyjmowała je w serce, niezależnie, czy oświeślały dziury w dachu śpichrza, oczekującym naprawy, czy — rany bliskich serc. Ale skupiała je wiernie wszystkie — i tylko, jak święty Sebastjan pod strzałami, przechylała się powoli na tamtą stronę życia. Bez palmy męczeństwa i bez świadomości bohaterstwa — bo i czyż istniało? Żyli wszyscy małym, zwykłym, szarym życiem, przycupniętem pod śniegami w zimie, prążnem spieką w lecie — torując sobie mozolnie drogę pośród klęsk gradobicia, czy powodzi, podatków, czy licytacji — jak tyle innych, jak tyle innych! A w każdym z takich dworów, jak w pracowitym ulu, z którego miód podbierały rabusie, żyła — matka. Matka, mająca ongiś swoją krótką legendę panienską, potem — swoją krótką epopeję małżeńską, potem — swój nieskończony, wierny, pszczeli trud matki — aż po daleki dzień, kiedy młode roje wylatywały na własne gospodarstwo. Wtedy — niektórym! przyświecało jakieś wypogodzone nareszcie łagodnem światłem po dniu znoju i burzy, wieczorne słońce. Niezmącona godzina zachodu! Zanim jednak...

Wprost z pod mirtowego wienca trzeba było wejść w biały czepeczek z fałbankami — ratunek nagłych, nocnych zrywań się do małych, żalosnych płaczów, głodnie otwartych różowych dziobków, bolących brzuszków, chwytnych przez zły koklusz w kleszcze, ciałek.

Trzeba było szyć komuś nową bluzę szkolną, podczas gdy innemu komuś trzeba było ze starej bluzy szkolnej przerabiać pracowite spodenki, a jeszcze innemu — drzeć własne, zwiotczałe batysty na pieluszki. Coś kwiliło w koszyku, podczas gdy coś innego biegło już w podwórzu pomiędzy końskimi kopytami — wieczna, zamierzająca groza macierzyńskiego serca!.. a coś jeszcze dawniejszego kuło niepokojące łańskie nazwy — obawa niemogącej nadążyć myśli rodzielskiej. I wszystkie niewykute cenzury, wszystkie zdarte mundurki, wszystkie zaczerwienione na jesienne

słoty gardziółka i wszystkie kwilące po nocy koszycki — plotły na skroniach macierzyńskich jedyny niezawodny wieniec, koronujący jej życie — wieniec cieniuchnych, maleńkich zmarszczek, z których każda była kolebką jednej powszedniej troski.

W dzień Alinka niewiele widywała matkę. Było wielkie podwórze z niezliczoną ilością rzeczy nieznanych, a zachwycających; był ogród, pełen porzeczek, agrestów, groźnego brzęku pszczoł i wesołego uciekania. Były wspinania się płóciennych spodeniek Tomaszka na wiśnie po znakomity klej, po którym długo nie można było mówić zalepioną buzią; były rozkoszne wycieczki za starą lodownię i były — krwawe krzywdy rozbitych nosów, podrapanych rączek, rozdartych perkalików. Wtedy po agrestach i porzeczkach rozlegał się płacz, tupotały pędem maleńkie, szybkie nóżki precz, precz, dalej od miejsca strachu i krzywdy, poprzez podwórze, pokoje, spiżarnie, kuchnie i przestrzenie — aż dopadły znanej postaci, jak ratowniczego portu, i rozpaczliwy głosik wołał z pośród fałd sukni, której czepiały się małe, pokaleczone rączki:

— Mamol! Mamuchno! Mamuńku! Mamuleńku!...

Wtedy kluczyki padały z macierzyńskich dłoni byle gdzie, ażeby się zgubić na czas dłuższy, dwoje ramion tuliło zapłakaną figurkę najpewniejszym w świecie, od razu kojącem objęciem, pracowita ręka podnosiła rozognioną twarzyczkę, oczy, pełne jeszcze troski o zagryzione przez tchórza indyczeta, wypromieniały się, jak dwa ciepłe słońca z za mgły, a głos, któremu czyż może dorównać jaki inny na ziemi? głos śpiesznie, kojąco mówił:

— Bóg z tobą, kotuniu! cicho, rybko! Boli co, skrzywdził kto, przestraszył? Kot podrapał? Apsik, niedobry! Nic, rybko, nic, serduszko! Mama pocałuje, i nie będzie bolało! A może chcesz chlebka z miodem? Dzięki Bogu! Taki krzyk, myślałam, czy nie pies wściekły, broń Boże?! ...A może wypijesz mleczka?

Codziennie wieczorem, zasypiając, podrastająca Alinka za ścianą słyszała sciszone, kobiece głosy. To matka robiła naradę z gospodynią na dzień idący. I jak katechizmu potem, nauczyła się znanych, wielokroć słyszanych słów:

— Barszczyk może być na boćwinie, z kością od szynki, co została; uważasz, serce? Skórki od sadelka przyrzuć, i będzie. Naleśniki można z serem, pan najlepiej lubi. Kisielek na malinowym soku — Tomaszek już wczoraj się upominał. A z tych białek od babki trzeba będzie zrobić jutro leguminę, żeby się nie zmarnowały. Weźmiesz, serce, sześć białek, ubijesz... Ale! A kaszka dla Janusi? Koniecznie, serce, nie zapomnij zgotować kaszki! i sucharków trzeba podsuszyć, żeby od chleba nie zachorowała. A sukienkę dla Jadziuni Marcelka uprała? I teraz, żeby dla pana na rano naszykować śniadanie, bo pojedzie w pole ze żniwiarzami, to nie doje. Dla żniwiarzy kwas, chleb i kwaśne mleko na południe wydałam, przygotowane w gospodarskim. A jeśli dziewczęta do pielienia przyjdą, a będzie deszcz, trzeba skorzystać i niech od razu idą do wełny, żeby jakiś porządek dać, bo zwilgnie. Bóg raczy wiedzieć, czy dotrzyma pogoda? Przychodź, serce, przed tem, jak się położyć: odmówimy koronkę na intencję jutrzejszych zażynek. Cała nadzieja w zbożu, cały ratunek! Komornik raz poraz najeżdża i najeżdża, raz poraż! Raz poraż!

I pod monotonne recitativo tych słów, mała Alinka zasypiała — w łóžeczku po starszym Tomaszku, bo w jej dawnym koszyczku kwiliła już nocami nowa, od roku przybyła Jadwinia. I nad tym ostatnim koszyczkiem, złożonym w jej ramiona przez życie, pochylała się teraz nocami, oświetlona chybottliwym płomykiem świecy, matka — o twarzy, na której hieroglify maleńkich zmarszczek kreśliły dzieje jej życia. Dzieje tak maleńkie, jak serce, a tak wielkie jak świat — którym na imię jest — Macierzyństwo!

WANDA BORUDZKA

JAK PRÓŻNE KŁOSY Z PODNIESIONĄ GŁOWĄ...

MATKOM.

We wszystkie myśli o was my, dostojny klan samotnych, zwykliśmy wkładać ton siostrzanego pobłażania. W słowie samotność, bowiem, brzmi śpiżowe: niezależność! Władamy niepodzielnym naszym życiem. Właściwym nasileniem „chcę“ i „mogę“ mierzy się pełnia naszej egzystencji. W porozwierane drzwi i okna wieje surowy wiatr wszelakich możliwości. Od nas zależy uczynić z życia wysoki próg, przed którym ktoś niepożądany będzie zmuszony cofnąć się w upokorzeniu — lub też rozesłać je na

płask przy czyichś stopach, w miękkiej uległości. Ukuć zeń bryłę dowolnego kształtu lub rozkruszyć w piasek.

Codzień tak samo bierzemy w posiadanie dwadzieścia cztery godziny bytowania, dowolnie dzieląc je na pracę i spoczynek. W odpornym na wszystko ożaglowaniu wolności możemy w każdej chwili wysłać lotny okręt życia na wzburzone wody przeznaczenia i, wieczne podróźniczki, zamknąć świat swoich zainteresowań w podręcznej walizeczce.

Niezawsze jest to łatwe. Często — trudne. Nie-równie częściej — niemożliwe. W zmaganiu z ży-ciem z jednej, z słabością własną, z drugiej strony, każda z nas ma swoje, więcej niż siedem smoczycy głów do ścięcia. Ale możemy walczyć — nagłym po-rywem krusząc, mozołem woli przecierając, więzy przeciwności. Nie oddajemy tego prawa i ochrania-my je namiętniej, niż, tanio ongiś zaprzędane, biblijne pierworodztwo.

Niezależnie od tego, czy siłom uda się osiągnąć kulminacyjny punkt zamiaru, czy zamiar zastosuje się posłusznie do niskopiennych sił, od nas zależy normowanie wagi i tętna życia.

Jakże dojdziemy do porozumienia?

Zrózniczkowały się proporcje światów i ktoś pomię-szał mowę, w której nawykliśmy powierzać sobie wspól-ność przeżyć. Gdy my, jak dawniej, nie znajdujemy dość wielkiej miary na objęcie horyzontu, a kopuły nieba nie dotknie najlotniejsza wyobraźnia — wam wystarcza przestrzeń, którą zajmuje jedynie ważny w domu, no-wością oszołamiający sprzęt — łóżeczko. A przepaści-ność nieba zastępują dwie, nierozjaśnione jeszcze świa-domością, mętne modre plamki żrenic.

Napróżno chciałobyśmy przeciwstawiać słowa, zna-czące bieg wypadków wielkiej wagi, dziecińskiej gwarze, która wyłącznie służy ku porozumieniu wam i *jemu*. Tra-ceniem czasu byłoby zachwalać zdrowy trud wędrowni ku dalekim celom i płynną rozkosz lotu. Stopy wam wrosły w to jedyne miejsce ziemi, a dobrowolnie utu-lone skrzydła najlepiej służą kołysaniu. A jeśli zakląć was imieniem proszących się o rozwój, dawnych za-miłowań — gotowe jesteście w najświętszej naiwności nie wiedzieć nawet, że zostały one, królewskim w swej niewolniczości gestem, mięciutko podesłane pod naj-różowsze stopki świata.

Lecz nadewszystko pustką nieporozumienia od-dźwięknie przypomnienie wam dawniejszych swobód. Odpowiedź na nie szerokim rozwieraniem jaśniejących oczu i uśmiechem kosmicznej litości, która pochłonie nasze, rzekomo słuszne, śmieszne kondolencje.

To zasadnicze wyodrębnianie psychologicznych różnic wydać się może kreśleniem granic na powierzch-ni wody. Gdzież bo jest ten, bijący w oczy, nowy kręt życiowej drogi? Na czym opierać można bezapelacyj-ne stwierdzenie somnambulizmu macierzyństwa, tego ześrodkowania wszystkich promieni jaźni w jednym punkcie? Coś, jakby słodczy pełne, dobrowolne za-mieszkanie na bezludnej wyspie, niepomną na nic, żywiolową miłością odcięte od stałego ładu.

Nic się tak przecie od dna samego nie zmieniło, a świat zachował cały swój dawny urok i rozciągłość. Wielka przemiana czyż nie ograniczyła się poprostu do zmiany rozkładu godzin?

Tajemna głęb metamorfozy mogła tych nawet godzin nie naruszyć. Przeoranie najgłębszych po-kładów duchowości mogło nie odbić się najlżejszem drgnieniem na powierzchni zdarzeń. Poprostu uległ przeniesieniu punkt ciężkości świata. Wszystka sło-dycz życia przesacza się już odtąd przez filtry „nie pozwalam” tej nowej, tak słabej, a tak przez słabość swoją nieugiętej, władzy. Każdą już odtąd gorycz zbiera się kroplami w własne serce. I niema promienia, któryby wpierw nie uległ załamaniu w nowym zwierciadle, odbijającym kolejność schmurzeń i rozjaśnień tego drugiego oblicza. Gdzież ostrze, któreby mogło przeciąć żywe, już niewiadomo czyją krwią nabrzmia-łe, więzy?

Ta właśnie nieodwołalność wciągnięcia się w słu-żenie dziecku zimną obręczą strachu ściska nam sa-motne, ale wolnie bijące serca. Ten to kurczowy lęk posyła niejedno słowo dziękczynienia pod adresem litościwego losu, co zdjął nam z ramion ciężar nie do podźwignięcia.

A przecież...

Czemże się dzieje, że przy zetknięciu z waszem, nie do pojęcia, szczęściem, jakaś paląca iskra za-zdrości zaczyna tlić na samym dnie trzeźwego nasta-wienia? Skąd ta, obejmująca duszę, mgła wzruszenia przy ujęciu — przecież nie swojej, przecież cudzej — ma-lutkiej, pełnej zaufania, dłoni? Jak tłumaczyć nagłe ściśnięcie krtani, gdy się znienacka ujrzy niedopity kubeczek z mlekiem, parę zabłoconych buciczków po-rzuconych na lilipucim dywaniku — malutką, mokną po rannem myciu gąbkę, czy mydełko? I jak usunąć z serca ostry lancet żalu na widok wyleknionej twarzy matki, schylonej nad łóżeczkiem dziecka, kiedy cisnę-łoby się losowi pod nogi wszystek skarb wolności za możność odczucia jednego przejmującego drgnienia tego niepokoju?

Słabość, najbezbronnejsza słabość, jest źródłem mocy. Za dar życia nie dałyśmy życia. Jak żdźbło, kwitnące w próżnię, stoimy na ugorze świata. Pustem słowem były nasze zaklęcia miłosne. Każdej chwili odejść może miłość, niewstrzymana żywym związaniem. Plewą wiejemy nad zie-mią. Przerwałyśmy łańcuch istnienia.



MACIERZYŃSTWO W SZTUCE

„W bólu będziesz rodziła dzieci twoje“ — brzmi odwieczny, straszliwy wyrok. — W bólu będziesz tworzył dzieło, w cierpieniu i rozterce, krwią spłyniesz i potem się oblejesz śmiertelnym, aż wydasz na świat dziecię — dzieło...

Istnieje jakieś tajemnicze, metafizyczne pokrewieństwo między macierzyństwem, a twórczością, jakiś głęboki, prawieczny związek między matką rodzącą i artystą tworzącym. Jednym mikroskopijnym ziarnem, nieuchwytnym atomem poczyną się dziecko; jedną iskrą lotną, błyskiem jarzącym — poczyną się dzieło. Akt poczęcia jednak tajemniczy i jednak dotąd w zasadzie niezbadany w jednym i drugim wypadku.

A potem — okres dojrzewania, cudownego stania się; okres przechodzenia wszystkich soków, wszystkiej materji żywiącej z organizmu w ten stwor nienasycony, jakim jest — dziecko i dzieło. Ów sęp, piękniejący i rosnący w siłę codnia na żywym, krwawiącym ciele Prometeusza — jest najgłębszym symbolem tego wzajemnego do siebie stosunku twórcy i dzieła. Jak mały drapieжник, syci się dziecko ciałem, krwią matki — jak bajeczny ptak rajski, co to sam świeci i pali się, ale wszystko dokoła gasi i tłumi — wchłania w siebie dzieło wszystkie kolory, i kraś, i ogień, które się palą i grają w piersi artysty.

Głębokiem, rozległym łóżyskiem płynie poprzez sztukę wszystkich czasów nurt macierzyństwa: kultu dla macierzyństwa, pierwotnego przed niem lęku i zabobonnych dreszczów, mistycznego dlań ubóstwienia — i wreszcie — onieśmielonego zdumienia wobec tej tajemnicy, która, stając się przedmiotem naukowych badań i stwierdzeń, nie przestaje być cudem. A kiedy indziej — macierzyństwo, już z innej widziane strony, macierzyństwo, które symbolizuje kobieta z dzieckiem na ręku, macierzyństwo — opieka; macierzyństwo — poświęcenie; macierzyństwo — miłość do samej śmierci. I oto następuje trzeci etap — koło się zamyka: macierzyństwo — bezgraniczne cierpienie; macierzyństwo — opłakiwanie; „lacrimae sacra“; macierzyństwo — pietà...

To, co się z tego zakresu przejawia w sztuce pierwotnej, to jest przede wszystkim macierzyństwo — niesamowitość i czarodziejska magja ciąży. Człowiek pierwotny nie rozumie macierzyństwa, nie kojarzy aktu rodzenia — w związku przyczynowym — z aktem zapłodnienia. Nie rozumie i boi się tych tajemniczych rzeczy, które się dzieją w ciele tego dziwnego stworza — kobiety. Murzyńskie rzeźby, pełne częstokroć niezwyklej ekspresji i siły, przedstawiają kobietę, jako pewien kształt o nieproporcjonalnie małej głowie i olbrzymim, wydatnie naprzód się wysuwającym brzu-



M. Asselin — Matka

chu — symbolu rodności, symbolu zarazem niejasnego pokrewieństwa z siłami pozaziemskimi, z duchami, za których sprawą dzieją się cuda.

Ten nieufny i prymitywny stosunek ulega powoli zmianie: — w miarę wzrostu kultury łagodnieje ostrość niesamowitego z początku problemu — aż wreszcie przychodzi głębokie zrozumienie, radosne wyzucie zagadnienia. Znana rzeźba grecka „Eirene z Plutosem“ — majestatyczna postać kobieca z drobnym dzieckiem na ręce — jest jakby zwiastunką, przeczuciem Madonny z Dzieciątkiem. Naogół przyjęło się mniemanie, że w sztuce greckiej problemat macierzyństwa spotyka się raczej rzadko. A przecież ów cudowny gest, jakim ogarniają się wszystkie niemal Afrodyty — poczynawszy od Milońskiej — nie jest gestem wstydu, jak tego chciała dawna pruderja — jest gestem macierzyństwa. Posągi greckie nie wstydyły się swej nagości — nie wstydyły się wspaniałej harmonji swych kształtów. Afrodyte — symbol kobiecości — wyraża też utajoną swą moc, swą siłę, być może, najwyższą: macierzyństwo.

A oto przychodzi „Światło ze Wschodu“. Przychodzi Objawienie, przychodzi Nauka, której jednym z najgłówniejszych czynników jest nieustająca ado-



Pinturicchio — Madonna
(Muzeum Narodowe st. m. Warszawy)

tej Matki — która jest syntezą miłości dla każdego dzieciątka na rękach matki wogóle — staje się źródłem niezliczonej ilości najwspanialszych arcydzieł Quattrocenta, Renesansu. A gdy z jednej strony wypowiada się rzewna miłość dla „Dzieciątka i Panienci” — z drugiej płynie tragiczna nuta najstraszniejszego cierpienia na ziemi: cierpienia matki nad dzieckiem umarłym. Te wszystkie wstrząsające „Zdjęcia z krzyża”, „Piety”, „Złożenia do grobu” wyrażają poza swą treścią religijną (a może nawet i częściowo poprzez nią) — przede wszystkim niedolę, mękę macierzyństwa sponiewieranego, strąconego w przepaść bez dna — bez wyjścia.

W tych kilku słowach niepodobna wyczerpać nawet częściowo, nawet jednostronnie, olbrzymiego zagadnienia. Zbytecznym chyba byłoby wspominać, że gdy po wielkich latach sztuki religijnej nastąpił okres sztuki świeckiej — macierzyństwo znalazło dostęp do twórczości artystycznej już w formie najbardziej bezpośredniej.

Przyszła moda na realizm, na „sztukę społeczną”. Wówczas i problem macierzyństwa zaczął być ujmowany pod tym kątem. Matka przy głodnych dzieciach, matka pracująca, matka-nędzarka, symbol krzywdy społecznej — stała się tematem niezliczonych obrazów niemieckich i francuskich.

racja macierzyństwa. Trzej królowie i magowie, jadący z mirrą, złotem i kadzidłem, ubodzy pasterze, którzy symbolizują zespolenie się ludzkości w hołdzie, złożonym Bóstwu — oddają pokłon zarazem Macierzyństwu — Niewieście, uświęconej zrodzeniem Syna. I cała sztuka chrześcijaństwa staje się w wielkiej mierze wyrazem tej, tak głęboko wyczutej i przemyślanej, na tak pierwotnym podłożu zakorzenionej, a do takich wyżyn subtelności i, możnaby rzec, arcy-uczucia — doprowadzonej koncepcji.

Sztywne, surowe, zakrzepłe w hieratycznym geście Madonny bizantyjskie, „Królowe Niebios” — są już pewnym, ponadludzkim, ze wszystkiego, co indywidualne, wyluskanym wyrazem, symbolicznym znakiem dla tej samej idei. Za cenę utraty wszystkiego, co traci jakkolwiek subiektywnością, uczuciem niejako jednostkowym — starano się uzyskać tu kształt, mający być odpowiednikiem treści uniwersalnej, wiecznej, niezmiennej.

Ale ten proces odbywa się tylko do pewnego czasu. Już w drugiej połowie średniowiecza rozpoczyna się proces przewartościowania. Głębokie uczucie miłości, miłości dla tego Dzieciątka na rękach

Matka w aureoli swego najpiękniejszego przeznaczenia, już nie Bóstwo, ale poprostu Kobieta, kobieta, rodząca dzieci, zgodnie z uświęconym prawem przyrody — jest tematem niezmiernie częstym sztuki ostatniej i przedostatniej doby. Tak, poprzez zatrącenie się pierwotnego sensu w symbolicznym, zeszytniałym kanonie, poprzez zbanalizowanie go i użycie tylko, jako pretekstu dla minoderji i rokokowego mizdrzenia się (macierzyństwo w „salonowej” sztuce rokoka) wracamy dziś do punktu wyjścia, do źródeł odwiecznych — ale wzbogaceni o całą świadomość. Sztuka staje znów wobec pierwotnej, prostej i nieskończenie zarazem zawilej tajemnicy — ale staje wobec niej już bez fałszywej prudencji, czy bezsensownego uczucia wstydu.

„Kobiety brzemiennie” — tak się nazywa jedno z najoryginalniejszych, najmocniejszych naszych dzieł plastycznych — rzeźba Ksawerego Dunikowskiego. Problem potraktowany tu z całym surowym realizmem: — artysta nie silił się na żadne upiększenie, żadne osłonięcie tematu; a przecież owiana jest całą rzeźbą majestatem, mającym w sobie coś już nadprzyrodzonego. Bo też w ujęciu Dunikowskiego kobieta brzemienna, to jest naczynie uświęcone, bezcenna muszla, w której wnętrzu drży klejnot: nowy człowiek.

l. j.



MACIERZYŃSTWO NA FILMIE

W kinie, jak w lustrze, odbija się życie. Życie zbiorowe i indywidualne—życie narodów i jednostek. Ale tak samo, jak można mieć lustro zwykłe, wklęsłe i wypukłe, i ustawiać je pod różnym kątem, tak samo w kinie można mieć odbicie zwykłe i karykaturalne, a nawet więcej:—można mieć odbicie magiczne, jakie w systemie luster jeszcze nie istnieje — odbicie, uwypuklające jedne przedmioty, cechy, czy uczucia, a pozostawiające w cieniu inne. Dlatego też kino jest tak wyjątkowo podatnym narzędziem propagandy, niestety, nie wszędzie docenianem. Zapomocą srebrnego ekranu można powiedzieć wszystko w taki sposób właśnie, w jaki się chce, żeby zostało przyjęte, zrozumiane i na długo, jeżeli nie nazawsze, w pamięci utrwalone. Czyż nie najsilniej przemawia do nas to, co widzimy „na własne oczy”? Cóż znaczy najwierniejszy i najartystyczniejszy opis pejzażu, człowieka, faktu — wobec tych samych rzeczy — widzianych? Czytając opis, odtwarzamy sobie daną rzecz, czyli dokończujemy ją sami w takim stopniu, na jaki pozwala nam nasza wyobraźnia — często robimy to za każdym razem inaczej, w zależności chociażby od nastroju; gdy tymczasem, patrząc na coś, widzimy to tylko — że się tak wyrażę — w jednej wersji, w tej, w jakiej chciano nam tę rzecz pokazać. Więc pokazuje się nam wszystko, co czyni życie piękniejszym i szlachetniejszym i — co jest jego złą i ohydą. Ci, którzy nigdy nie byli na wojnie, poznają jej piekło, widzą ją, i nie mogą nie stać się jej wrogami. Ci, którzy nigdy nie obcowali z wielkimi duchami — stają twarzą w twarz ze znanymi i bezimiennymi bohaterami różnych epok.

Patrząc na ich czyny, przeżywają ich mękę, kłeski i zwycięstwa, i już nie mogą zostać obojętni dla tych, którzy w jakiejkolwiek formie dają coś ludzkości, narodowi, społeczeństwu, czy choćby tylko drugiemu człowiekowi — nie mogą nie mieć kultu dla wiedzy, talentu, odwagi, poświęcenia, szlachetności, sprawiedliwości, dobroci — wszystkiego tego, co jest najwyższym dobrem człowieka.

Tak więc kino, prócz swych zadań rozrywkowych i artystycznych, spełnia wielką rolę społeczną, mając możność wpływania na kształtowanie stosunku mas do najrozmaitszych przejawów życia. Najwięcej pierwiastka społecznego spotykamy w filmach amerykańskich. Tam też, między innymi, znajdujemy propagandę uczuć, które — zdawałoby się — są każdemu człowiekowi przyrodzone i nie wymagają żadnej specjalnej „hodowli”: uczuć miłości ludzi dorosłych do dzieci wogóle i — miłości dzieci do rodziców. Generalną „wizualną referentką” spraw dzieci jest Mary Pickford, o czym już nieraz miałam okazję pisać. Ona to jest oskarżycielką i adwokatką w jednej osobie: ona demaskuje fałszywą filantropję, piętnuje i wysmie-



Marja Carr w filmie „Matka”

wa obłudę różnych „dobroczynnych” pań — oschłość ich serc i ciasnotę mózgów — ona to walczy o krzywdy dzieci, nie tylko pozbawionych dachu i chleba, ale o wszystkie drobne dziecięce niedole i smuteczki, które często zostawiają ślad na całym życiu, a których dorośli nie chcą zrozumieć i uszanować.

Ale i matki, skrzywdzone przez los, ustrój społeczny, albo poprostu — przez niegodziwe dzieci, znajdują w srebrnym ekranie obrońcę swych praw. Nie chcemy już nigdy, nigdy pozwolić na to w życiu, ażeby jakaś słodka Liljana (Gish) rozdierała nam serce swą żarliwą modlitwą nad trupkiem nieślubnego dziecka, które zabiła złość ludzka („Męczennica miłości”) — nie chcemy już widzieć w życiu takich potworności, jaką jest znęcanie się nad dzieckiem nieślubnym („Krwawa litera”) — nie chcemy być świadkami cierpień Marji Carr (genjalnej odtwórczyni roli matek), poniewieranego przez własne dzieci, dla których całe życie walczyła i cierpiała („Matka”). Ten ostatni film, wybitnie naturalistyczny pod względem formy, film, nie ukrywający swej tendencji — może najsilniej wstrząsnąć sumieniami ludzi prostych, dla których jest przeznaczony. Widzów bardziej rafinowanych będzie pewnie raził „morał”, wypowiedziany tak bez ogródek, że aż... zawstydzający. Ale chociaż w innych filmach sprawy te traktowane są w sposób mniej jaskrawy i, dzięki temu — bardziej artystyczny — niemniej jednak film, p. t. „Matka” *), zawsze pozostanie hołdem, oddanym przez kinematografię amerykańską symbolicznej matce — tej, która daje swe serce, nic wzamian nie żądając, tej, która nigdy nie pragnie być pomszczoną, lecz zawsze gotowa jest przebaczyć.

Jeżeli „Święto Matki” i kult uczuć miłości dla niej staną się coraz bardziej powszechne, możemy śmiało powiedzieć, że kino było tą soczewką, która te uczucia ogniskowała, ażeby je rozproszyć po świecie w milionach odbić.

Stef. H.

*) Wyświetlany u nas przed dwoma laty.

OBRAZY Z HISTORJI MODY

II

Przeskoczmy teraz kilkanaście wieków.

Wejźdmy przez ostrołukową bramę w wąską ulicę miasta, gdzie środkiem jedzie orszak rycerzy. Konie nakryte złocistymi kapami. Na koniach niesamowite stalowe figury. Czerwone i zielone strusie pióra chwieją się na szczytach hełmów. Przed bramami domów gapi się czeladź cechowa. Śmieszne, czerwone kaptury, z końcami aż do ziemi; w zęby powycinane, krzyczące barwą kołnierze. Buty z miękkiej skóry, z wykręconemi do góry długimi nosami. Bogaty mieszczanin w aksamitnej kurtce, obramowanej futrem, ze złotym łańcuchem na piersiach. Ze spuszczoną głową, w wysokim na metr kornecie, z twarzą, zasłoniętą białym welonem—przechodzi niewiasta. Jej pierś jest wąska i wpadnięta, stan wysoko podniesiony do góry, a dolna połowa ciała, naprzód wysunięta — szeroka i fałdzista. Purpurowy, wzorzysty brokat spada w załamaniach twardych i sztywnych.

Nad szaremi murami i miedzianymi dachami miasta góruje kamienna, strzelista wieża kościoła. Budowały go pokolenia. Ten kościół, to praca tysięcy rąk, wysiłek twórczej wyobraźni całych generacji, duma i chluba gminy, ośrodek życia



Czy to jest symbol? Czyż istotnie treścią wewnętrznego życia tych ludzi jest religia? Spojrzawszy na nich, możnaby niemal w to uwierzyć. Wystarczy sobie zresztą uprzytomnić sposób ich myślenia. Wszak grzech pociąga za sobą wieczne męki piekielne, a nie dorównuje rozkoszom niebiańskim, które stają się nagrodą cnotliwych. Wszak życie na ziemi jest dla nich tylko chwilą, a cały ciężar ważności przeniesiony jest poza grób. Ci ludzie istotnie wszyscy chcieliby być świętymi. Z oczyma, skierowanemi we własną duszę, badają tylko wartość swych myśli i czynów. Nie widzą, zdawałoby się, życia natury wkoło siebie.

Ich ideałem jest wzniesienie się wysoko ponad marność doczesną, osiągnięcie najwyższego szczybla rozwoju — świętości. A jednak...

Jednak życie wre i ciągnie ich za sobą. Wozy, naładowane towarami, wjeżdżają i wyjeżdżają z miasta, w warsztatach stukają młoty, w kasach gromadzą się wory pieniędzy. Świętobliwe Małgorzaty, z wzrokiem utkwionym w książkę do nabożeństwa, znajdują jednak sposobność do zawarcia znajomości ze swymi Faustami. Sumienie grozi i nigdy nie jest spokojne. Instynkt i siła życia rwie w swoją stronę. I oto życie jest rozerwane. Z jednej strony—nadmierznie wysoki ideał, niesłuchanie piękny w swej

wzniosłości, lecz dostępny tylko nielicznym wybranym — z drugiej strony — zauszone, lecz tem silniej tętniące życie żądz i pożądań. To rozdwojenie chrześcijańskiego średniowiecza odzwierciedla się wyraźnie w formach ubioru. Jest w tym ubiorze przedewszystkiem jakieś gwałcenie praw ciała, jakieś zupełne nieliczenie się z jego kształtem i potrzebami. Jakgdyby człowiek kształtował swoją postać, nie wiedząc wcale o tem, że materialem jego jest żywe ciało. Głowa kobieca zamienia się dla niego w jakiś skośny stożek, pierś — w ostry trójkąt, a zamiast nóg powstaje jakaś piramida niespokojnych, ostro załamanych fałd. Nawet między materiałem, z którego zrobione jest ubranie, a jego formą, zachodzi jakiś gruntowny rozdźwięk.

Często materiał pocięty jest wprost na paski.

Zamiast otulać, okrywać — daje niespokojną grę nacięć i kolorowych podkładów. Z normalnej sylwety człowieka zrodziła się jakaś niesamowita kompozycja, z której wyskakują pióra, sterczą ostro końce koronetów, zwisają sznury z przyczepionymi dzwonczkami.

Nie dosyć na tem. Obcisłe spodnie młodzieńców zdają się toczyć walkę: gdy lewa nogawka jest żółta — prawa jest czerwona. Gdy jedna jest gładka — druga jest nacięta, lub bufiasta. Jakgdyby we wszystkim zaznaczona być musiała jaknajwiększa sprzeczność, jaknajwiększy rozdźwięk. Jakgdyby ta utajona walka, która toczyła się w duszach tych ludzi, przenosiła się na każdą część ich ubioru.

W tem wszystkim jest jednak jeden mianownik wspólny, jedna władza, która godzi i spaja te wszystkie sprzeczności. Jest nią poczucie artystycznej formy. Rozbujana fantazja średniowiecza, tworząca niesłuchanie śmiało, niesłuchająca żadnych nakazów, uznaje nad sobą jedno tylko prawo: prawo artystycznej kompozycji. Gdy patrzymy na nie, pamiętając o normalnej formie ciała ludzkiego, postacie te wydawać się nam mogą niemal pokraczne. Gdy jednak spojrzymy, zapomniawszy o tem, jakimi je stworzyła natura, jako na czyste wytwory fantazji — zdumiewają nas pomysłowością i swoistem pięknem swych linii i barw.

W tych ubiorach późnego średniowiecza odzwierciedlił się cały dualizm ówczesnego życia. Odzwierciedliła się duchowość tych ludzi, zawieszona między dwoma krańcami: między niebem, a piekłem, między ołtarzem, a Łysą Górą. Nad niemi unoszą się dwie postacie: święta — w złocistej glorii — i bezębna, wykrzywiona na miotle czarownica.

Stefania Zahorska.



WRAŻENIA Z WYSTAWY ŁOWICKIEJ

Obecna wystawa tem się różni od dotychczasowych imprez tego typu, że tamte korzystały jedynie z eksponatów, łaskawie udzielonych przez gminę tej lub innej zaprzyjaźnionej wsi, co nie pozwalało tym wystawom na objęcie całokształtu sztuki ludowej. „Organizując niniejszą wystawę, staraliśmy się dać przemyślany i celowy wybór wyrobów ludu łowickiego, zakupionych dla dwóch muzeów etnograficznych“. Te słowa usłyszałam na wstępie, wchodząc do lokalu Polskiej Macierzy Szkolnej na wystawę łowicką. Okazało się, że przybyłam w momencie zwiedzania wystawy przez duchowne seminarjum. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, stałam się świadkiem radosnego demonstrowania ukochanego dzieła tym, dla których ono było przedewszystkiem przeznaczone. Główna organizatorka wystawy, p. Aniela Chmieleńska, jedna z tych wyjątkowych kobiet, które przy siwiejących włosach zachowały dziewczęcą postać i wyrazu, z młodzieńczym entuzjazmem ciceronowała zebrany klerykom. Znać było, że nie chodzi jej o pochwalenie się mnogością i jakością eksponatów (z których miałyby wszelkie prawo być dumną), lecz w pierwszym rzędzie o wykazanie tym przyszłym duszpasterzom, jak wielkim może być zakres ich wpływu, jak ważną odpowiedzialność, i jak doniosłe skutki może mieć ojcowska opieka nad sztuką ludu.

Mam wrażenie, że w tym celu podniosła p. Chmieleńska zasługę dotychczasowych proboszczów, odmawiających udzielenia ślubu parom, stojącym przed ołtarzem w miejskim ubraniu, a nie w malowniczych ludowych ubiorach. Malarz obyczajowy miałby bogate pole do obserwacji w twarzach młodych kleryków, z których każdy inaczej reagował na słowa p. Chmieleńskiej. Z załem wypada mi stwierdzić, iż tylko w niektórych oczach dostrzegłam ów wyraz skupionej uwagi, dowodzący zainteresowania i zrozumienia. Większość przyszłych apostołów ludu wyglądała, jak znudzone sztubaki na imieninach u dyrektora. Ja, mimowolny i niedostrzeżony, w tłumie czarnych sukienek duchownych, świadek natchnionego wykładu — słuchałam z zapartym oddechem, starając się nie uronić żadnego z cennych wyjaśnień.

Kolekcja łowickich ubiorów ludowych od pięciu pokoleń, w świetle słów p. Chmieleńskiej, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, nabierała swoistego życia i uroku. Podziwiałam świetny barwik i trwałość chłopskich tkanin, z których niejedne datowały z r. 1860, a wyglądały tak, jakgdyby świeżo opuściły krosna. Pojęłam tajniki ewolucji pasiaków, których dominująca barwa, ongi koralowa, zmieniła się na ponsową, ta znowu zjaśniała na ognisto-pomarańczową i dotąd trwa w tej tendencji rozjaśniania się. Śmiałam się z zabawnego kształtu dawnego, filcowego kapelusza męskiego,



Z wystawy łowickiej — wewnątrz chaty.

słusznie zwanego „świnioryjkiem“. Ubolewałam nad tem, że włościanki zarzuciły zgrabne zimowe kożuszki, kryte granatowym sukniem, zwane „futerkami“, dla mniej ładnych chust, lub pasiastych „rańtuchów“, noszonych raz jako fartuch, raz — jako peleryna. Największym jednak zachwytem dla artystycznego smaku łowiczanki i szacunkiem dla ich benedyktyńskiej pracowitości przejęły mię hafty; zarówno paciorkowe wyszycia na gorsetach, jak kolorowe „przyramki“, wykonane mikroskopijnymi krzyżykami na koszulkach kobiecych, i haftowane białym atłasem przody męskich koszul ślubnych, dary oblubienic — wszystkie roboty charakteryzuje ta sama, niemal chińska, precyzja wykonania, dowodząca trudno zrozumiałej dla zneurastemizowanego miejskiego mózgu — cierpliwości. Trudno jest uwierzyć, że, zamęczona orką w polu i w domu, kobieta wiejska znalazła czas i ochotę na wykonanie tej nadprogramowej pracy, jedynie w celu zadowolenia potrzeb estetycznych, swoich i otoczenia. — Zapytywałam łowiczanki — mówi pani Chmieleńska, kiedy znajdują czas na hafty? — O, proszę pani — odpowiadały — jak się chce zrobić, to się robi. A to w polednie, a to w odwieczarz, zamiast spać, a to przy mrozie, a to kołysząc dziecko... — Ta pełna godności odpowiedź mogłaby słusznie zawstydzić niejedną uroczą warszawiankę, nic nie robiącą, a wiecznie utyskującą na brak czasu.

Przechodząc do prześlicznie barwionych i doskonale skomponowanych wycinanek, p. Chmieleńska kreśli sympatyczne sylwetki domorosłych artystek, samouczek, z których najzdolniejsze nie umieją nieraz pisać, ale swym samorodnym talentem dekoracyjnym stwarzają nowe kierunki we wzorach haftów i wycinanek, czyli, jak mówią, „nadają modę“. Okazuje się, że słowo „moda“ nie jest obce żadnej kobiecie — nawet takiej, której sztuka pisania dotąd obcą pozostała.

Piękna ceramika łowicka, również wyrób samouków, nie mających nawet środków na ustawienie odpowiednich pieców do wypalania, pozwala p. Chmieleńskiej snuć śmiałe marzenia o tem, czem mogłaby się stać w przyszłości fabryka wyrobów ceramicznych, w którejby umiano odpowiednio zużytkować talenty dekoracyjne dotychczasowych samouków. W zaaferowaniem zainteresowaniu, okazywanem wystawie przez bawiących w Warszawie anglików, dopatruje organizatorka z ich strony obawy poważnej konkurencji, jaką mogłyby się stać na rynku światowym łowickie wyroby ceramiczne — dla słynnych fajansów angielskich. Słucham, chłonąc oczyma tęczy świat pasiaków, misternych wycinanek, wielobarwnych hafców, i myślę, że, kto wie, może najmielsze marzenia p. Chmieleńskiej wcale nie są zbyt śmiałe? Może obok fabryki fajansu powinnaby jeszcze powstać i kooperatywa hafców łowickich, zastosowanych do sukien współczesnych, haftów, mogących śmiało konkurować z tak modnymi zagranicą haftami rumuńskimi... i warsztaty tkackie... i zakład koronczarski?... Wtem wśród ambitnych marzeń zdejmuję mię nagła obawa: czy aby takie uprzemysłowienie twórczości ludowej nie będzie jednocześnie jej utandetnieniem — sprowadzeniem przebogatej, samorodnej inwencji do kilku wyuczonych, cieszących się łatwym powodzeniem szablonów? Ale natychmiast odpędzam tę myśl natrętą. W epoce struggle for life'u niema miejsca na przeczulone sentymenty! Zresztą, jeżeli te przemysłowe poczynania będą nadal miały kierowników tak kochających sztukę ludową, traktujących ją z takim pietysmem i zrozumieniem, jak p. Aniela Chmieleńska — możemy być o ich poziom artystyczny zupełnie spokojni.

Well.



INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA Dr. J. Świtalskiej.

DZIAŁY:

- 1) **Chirurgiczny** — wszelkie zabiegi chirurgiczne z dziedziny plastyki kosmetycznej: a) operacje plastyczne twarzy, b) usuwanie tłuszczu z jamy brzusznej, c) poprawianie kształtu biustu, d) wszelkich deformacji kończyn, e) usuwanie żyłaków i t. d.
- 2) **Wewnętrzny** — wskazówki ogólnie-higieniczne, jak należy żyć, odżywiać się i t. d., żeby zachować zdrowie i młodość.
- 3) **Kobiece** — a) choroby kobiece b) niedomagania organów płciowych kobiecych.
- 4) **Skórny** — leczenie włosów, wad cery i t. d.
- 5) **Kosmetyczny** — a) wskazówki pielęgnacji twarzy, włosów i poszczególnych części ciała, b) zabiegi kosmetyczne (masaże, maski i t. d.).
- 6) **Ćwiczenia gimnastyczne** — dla utrzymania zdrowia, harmonii ruchów, smukłej linii i t. d., prowadzi p. Tańska Marja pod kierunkiem lekarza.
- 7) **Gimnastyka lecznicza** (p. Tańska Marja pod kierunkiem lekarza) — a) przy obstrukcji, b) złej przemianie m. terji, c) otłuszczeniu i t. d.
- 8) **Światło-lecznictwo** — usuwanie brodawek, włosów, leczenie zapomocą światła: odmrożeń, piegów i t. d.
- 9) **Laboratorium higieniczno-kosmetyczne** — podług przepisu Dr. J. Świtalskiej: — kremy, pudry, mydła i t. d.

Sekretariat instytutu: — Krucza 31 m. 3, tel. 102-77
od godz. 5 — 7.



PASZTET GORĄCY Z MÓZGÓW

Zagnieść ciasto kruche z pół kilo mąki, ćwierć kilo masła lub szmalcu, jednego całego jajka i takiej ilości wody, aby ciasto się dało cienko rozwałkować. Ciastem tem wyłożyć formę pasztetową, lub niedużą tortownicę, pozostawiając trzecią część jego na pokrycie pasztetu. Trzy mózdzki cielęce wymoczone i obciążnięte z krwawej błonki ugotować w osolonej wodzie, z dodatkiem paru łyżek octu. Łyżkę masła zasmażyć na biało z łyżką mąki, rozproszyc trzema szklankami słodkiego mleka, jak zwykły bechamel, wsypać dobrą garść ostrego, tartego sera, odrobiny pieprzu, trochę gałki muszkatołowej, lub skórki cytrynowej, kto jaki zapach woli. Mózdzki pokrajać w dużą kostkę, zmieszać z sosem, nałożyć do formy, zasklepić resztą ciasta, nakłuć je widelcem, aby para wychodziła. Upiec w dobrze gorącym piecu, wyłożyć na półmisek i podawać na gorąco. Oddzielnie w sosierce dać sos rumiany cytrynowy, albo kaparowy, może też być czysty sos pomidorowy.

SER TŁUSTY NAPRĘDCE

W mieście, gdzie sprzedają najczęściej sery z odtłuszczonego mleka, można zrobić ser, przypominający smakiem wiejskie sery, ze świeżego mleka. Kilo świeżego twarogu przepuścić przez maszynkę, lub przetrzeć przez rzadkie sito, włożyć w to dziesięć deka masła, wbić dwa jaja całe, osolić do smaku, wsypać, kto to lubi, garstkę kminku, wyrobić doskonale łyżką lub ręką. Serwetę wyparzyć, wyłożyć zimną wodą, przełożyć do niej masę serową, związać nad nią mocno sznurkiem, przycisnąć deseczką i na nią ciężarkiem, postawić na noc w chłodne miejsce. Nazajutrz rano można podawać. Gdy przeschnie jeszcze przez dni parę, staje się smaczniejszy.

BUŁKI ZAPARZANE, NIE CZERSTWIEJĄCE

Pół kilo mąki zaparzyć litrem wrzącego mleka, wybić doskonale, ucierać, aż ostygnie; dodać dziesięć deka drożdży, wymieszać razem, posypać nieco mąką; przykryć, postawić w cieple, aby podeszło. Gdy się ruszy, dolać pół litra letniego mleka, dodać soli do smaku, szklankę cukru i około trzech kilo mąki (mniej, lub więcej, zależnie od jej suchości). Mięsić, aż ciasto od rąk odstanie. Dać podejść powtórnie. Robić bułki, najlepiej w kształcie długich bochenków chleba, gdyż takie najlepiej krajają się dają. Dać im jeszcze raz podejść na blachach, posmarować jajkiem i wsadzić w piec. Pieką się około godziny. Bułki takie, chociaż robione bez jaj i masła, są bardzo smaczne i długo nie czerstwieją. Ta proporcja jest duża, można brać jej połowę.

Pani Elżbieta.



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700. Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.